

Wspomnienie

Na początku mojej pracy w Instytucie Onkologii w 1971 r., podczas jednego z zebrań Kierownictwa, usłyszałam dość ostre słowa prof. Koszarowskiego: „Nie będę godzinami antyszambrował u ministra!” Sprawa dotyczyła postępów prac związanych z budową nowego Centrum Onkologii na Ursynowie, a pertraktacje z władzami prowadził Profesor. A jednak, pomimo tych zarzekań, to właśnie mozolne i uporczywe starania Profesora Koszarowskiego doprowadziły po latach do powstania Centrum. Doprowadziły, bo Profesora cechowało nieustające, wręcz obsesyjne dążenie do „załatwienia spraw onkologii”. Wizja organizacji szeroko rozumianej walki z nowotworami w Polsce kazała Mu wnikać w dziedziny obce Jego głównej specjalności – np. organizować podwaliny epidemiologii nowotworów lub tworzyć koncepcję sieci jednorodnie działających placówek onkologicznych w kraju. Owo dążenie do rozwoju wybranej dziedziny rządziło wielu postępowaniami Profesora – realizował je z pomocą przyjaciół, stosunków z osobami z przedwojennego warszawskiego środowiska, miru wśród onkologicznych współplemienników różnych narodowości. Realizował je *per fas* – a gdy trzeba było – także *per nefas*. Nieraz, jak się sam wyrażał, dla osiągnięcia należytego celu trzeba było połknąć żabę. Wobec Jego determinacji, ten cel uświęcał wszystkie środki.

Bliżej poznałam Profesora Koszarowskiego jeszcze przed rozpoczęciem pracy w Instytucie. Na Światowym Kongresie Przeciwrakowym w Moskwie w 1962 roku miałam referat o wpływach hormonalnych na hodowle nowotworów *in vitro*. Profesorowi widać spodobało się takie podejście, gdyż w przerwie podszedł do mnie w kolejce do kawy – i za chwilę zostało ustalone (w ramach załatwiania spraw dla onkologii), że materiał z raków sutka będzie pobierany w Instytucie warszawskim i przesyłany pociągiem do Łodzi (gdzie wówczas pracowałam), a ja wieczorem i w nocy będę się zajmowała hodowlami. Z tym cyklem prac objechaliśmy kilka zjazdów. Jeden z nich upamiętnił się zabawną przygodą, która spotkała Profesora. W upalnym lipcu ryccersi Francuzi przydzielili mi w hotelu pokój z łazienką. Profesor takich wygod nie miał, a kąpać się lubił, więc zaprosił się do mnie. Niestety, perfidne krany w hotelu na zgniłym Zachodzie były zbyt trudne do manewrowania przez polskiego chirurga i w pewnym momencie Profesor wybiegł z łazienki, zawołowany w ręcznik kąpielowy, błagając, bym zapanowała nad ukropem, lejącym się z prysznicą.

W nadzorowaniu rozwoju naszej dziedziny w całym kraju zdarzały się manipulacje przykre i czasem krzywdzące ludzi. Gdy trzeba było usunąć nieodpowiednio wybranego ordynatora jednego z terenowych oddziałów onkologicznych – trzeba było zmontować przeciwko niemu akcję negatywnych opinii zawodowych; wybrano na przewodniczącego Polskiego Towarzystwa Onkologicznego osobę nieodpowiednią (szanowaną i godną zaufania, ale skromną i bez tytułu akademickiego) – trzeba było unieważnić wybory i wprowadzić na to miejsce bardziej stosownego kandydata. Były to owe chwile trudnych decyzji,



Prof. Tadeusz Koszarowski i prof. Olga Mioduszevska – 1965 r.

które – w opinii Profesora – musiały być podjęte dla realizacji nadrzędnego celu.

W pewnym okresie mnie także dotknęło „taktyczne” działanie krzywdzące, na szczęście nie uniemożliwiające mi dalszej pracy w Instytucie Onkologii. Po latach, gdy Profesor Koszarowski ustępował z funkcji dyrektora, przyznał podczas Rady Naukowej, że było to wówczas postępowanie niesłuszne i przeprosił mnie, mimo że nie było koniecznej potrzeby takiej deklaracji. Uważałam, że to wielki czyn, świadczący o mierze człowieka. Staliśmy się szczerymi przyjaciółmi i do końca dni Profesora niejedna godzina upłynęła nam na wspomnieniach z Jego życia, dziejów Instytutu i losów naszych wspólnych kolegów.

Mieliśmy też, oczywiście, kontakty związane ze sprawami chorych, niektóre dość oryginalne. Pamiętam pacjentkę Profesora, dobrze starszą panią z przedwojennej socjety warszawskiej, u której świeżo wykryto raka sutka i przedstawiono konieczność radykalnego zabiegu. Pani przysłała zrozpaczoną, zdecydowaną na odmowę, gdyż właśnie postanowiła na nowo wstąpić w związki małżeńskie i była przekonana, że jej wybraniec zrezygnuje ze ślubu z powodu jej kalectwa. Wspólnymi siłami zmontowaliśmy z Profesorem akcję przekonywania jej, że to los daje szansę najwłaściwszego wyboru, wypróbując jej partnera: jeśli to człowiek przyzwoity i dobry, z którym warto się związać, to będzie jej podporą i opiekunem, jeśli odejdzie – to lepiej zrezygnować ze związku z marnym

człowiekiem. Wszystko skończyło się dobrze i chora nieraz odwiedzała nas, dziękując za podtrzymanie w trudnych chwilach.

Nie będąc klinicystą, mało miałam okazji obserwowania Profesora podczas kontaktów z pacjentami. Ale przytoczę tu zdanie liczące się wyjątkowo, bo wypowiedziane

przez jednego z jego zagorzałych wrogów (któż ich nie ma!): „to dobry lekarz i rozumie chorych”.

Prof. dr hab. med. Olga Mioduszewska
Zakład Patologii
Centrum Onkologii – Instytut
im. Marii Skłodowskiej-Curie
w Warszawie

Wspomnienie

Wręcz nie mogę uwierzyć, że nie będziemy już mogli pogawędzić o tak wielu sprawach, których przez te wszystkie lata spędzone razem stale przybywało, a których nigdy do końca nie byliśmy w stanie rozważyć. Rozwiązany problem rodził kolejne, nowe sprawy o wielu wątkach i uwarunkowaniach. Zwłaszcza ostatnie kilka lat spędzaliśmy razem, znacznie bliżej, bo nawet jeśli nie starczało czasu na osobiste spotkanie czy rozmowę telefoniczną, to moimi poczynaniami kierowała aura Tadeusza Koszarowskiego i rodziło się pytanie, czy On tak by postąpił.

Tadeusz Koszarowski urzekł mnie swoją osobowością już podczas pierwszej rozmowy, w dniu, w którym Pani Profesor Małgorzata Serini-Bulska umówiła mnie z Profesorem na spotkanie. Idąc na rozmowę byłem strasznie przejęty, nie tyle z powodu trudności w znalezieniu pracy, co przytłoczony sławą Człowieka, przed którym miałem stanąć. Jednak już po kilku minutach poczułem się nieco śmieiej – ten sławny uczony, lekarz i społecznik, był ujmująco skromny, mówił piękną polszczyzną, co w owych czasach nie było codziennością. Opisał mi ogrom zadań, jakie stoją przed rodzącą się wówczas nową dziedziną wiedzy, jaką była onkologia i przedstawił wizję jej rozwoju, a jednocześnie był nadzwyczaj precyzyjny w określeniu oczekiwań od potencjalnego adepta sztuki medycznej. Nie miałem wątpliwości – bardzo chciałem pracować pod Jego kierownictwem i być uczestnikiem tego wszystkiego, co Profesor chciał stworzyć.

Krótko po tym rozpocząłem pracę i tak minęło już 37 lat w zawodzie chirurga-onkologa, którego zadania Profesor zdefiniował następująco:

„Chirurg-onkolog mając pogłębioną znajomość patologii i kliniki chorób nowotworowych, dysponuje swobodnie wszystkimi znanymi metodami operacyjnymi dla dokonania optymalnego wyboru i prawidłowego wykonania leczenia chirurgicznego nowotworów oraz możliwie szybkiej i pełnej rekonstrukcji i rehabilitacji pooperacyjnej. Chirurg onkolog ma pełną znajomość skuteczności innych metod terapii, racjonalnie i obiektywnie ocenia swe właściwe miejsce w zespołowym rozpoznawaniu i leczeniu skojarzonym chorób nowotworowych, cechuje się umiejętnością współpracy z innymi specjalistami dla wspólnego ustalenia planu leczenia, a następnie konsekwentnego kompleksowego jego wykonania, znajomością bezpośrednich i odległych wyników leczenia oraz czynników rokowniczych. Chirurg-onkolog prowadzi dalszą obserwację i opiekę do końca życia operowanego chorego”.

Dla osiągnięcia tak określonych zadań konieczne było stałe doskonalenie, toteż łatwo było uzyskać zgodę Profesora na szkolenie w kraju lub na wyjazd zagraniczny, dużo, ale to dużo łatwiej, niż na urlop wypoczynkowy. Profesor zawsze ciężko pracował i chciał stałe mieć nas wszystkich wokół naszych chorych i wokół siebie. Szkolenia zagraniczne zawsze gorąco popierał i tym poparciem wykazywał wielką odwagę cywilną – odmowa powrotu do Polski Ludowej groziła Szefowi przykrymi konsekwencjami służbowymi, a mimo to ryzykował i wyrażał zgodę.

Profesor był nadzwyczaj otwarty na propozycje nowych rozwiązań. Rozwazał je bardzo wnikliwie i sumiennie śledził ich realizację. Dzięki tej otwartości Jego wizje mogły być twórczo realizowane przez uczniów. Dzięki temu, przede wszystkim zyskiwali chorzy – byli leczeni nowocześnie i coraz mniej okaleczająco, a ponadto powstało wiele opracowań naukowych, publikowanych w czasopiśmie krajowych i zagranicznych. Indywidualny wkład i wysiłek asystentów w rozwój onkologii był zawsze przez Profesora doceniany, znacznie częściej publicznie, niż w zaciszu Jego gabinetu. Profesor, występując wraz z zespołem przed tak świetnymi gremiami, jak np. Towarzy-



Prof. Tadeusz Koszarowski z małżonką, w towarzystwie prof. Marka P. Nowackiego, podczas uroczystości 70-lecia otwarcia Instytutu Radowego przy ul. Wawelskiej, 29 maja 2002 r.